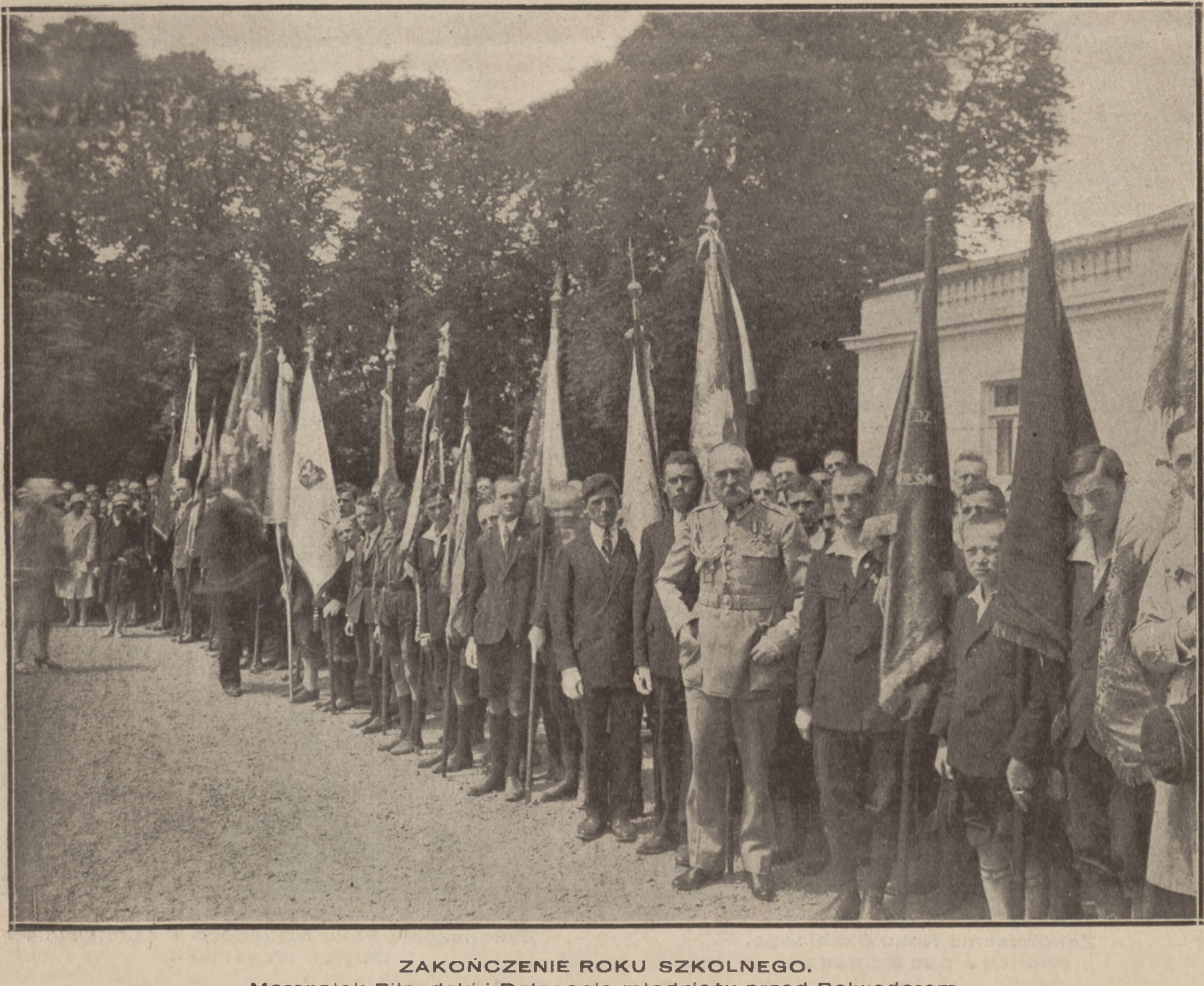
ROK 1. CENA 30 GR.

ŚWIAT DOM i SZKOŁA

№ 23. Warszawa. TYGODNIK ILUSTROWANY. 14 lipca 1929.

WYDAWCA: RADA SZKOLNA M. ST. WARSZAWY. RED. HELENA BOGUSZEWSKA

TREŚĆ NUMERU: A. W.: Zakończenie roku szkolnego dla uczniów kończących siódme klasy szkół powszechnych.—E. Lublinerowa: Dzieci troski.—Od Rady Szkolnej m. Warszawy.—Projekt regulaminu dla wychowawców i wychowawczyń na kolonjach letnich Rady Szkolnej.—L. R.: Jak ludność amerykańska spędza „koniec tygodnia" (week-end).—L. Barańska: Sobota i niedziela.—Wanda Melcer-Sztekkerowa: Pościg z pampasów.—Chl.: O radości.—Rozrywki umysłowe.



ZAKOŃCZENIE ROKU SZKOLNEGO.
Marszałek Piłsudski i Delegacje młodzieży przed Belwederem.



Zakończenie Roku Szkolnego w szkole Nr. 191 przy ulicy Narbutta.

A. W.

ZAKOŃCZENIE ROKU SZKOLNEGO

DLA UCZNIÓW KOŃCZĄCYCH SIÓDME KLASY SZKÓŁ POWSZECHNYCH.

Dzień 28 czerwca dla wielu tysięcy młodocianych obywateli jest wielkim dniem. W tym dniu kończą siódmą klasę szkoły powszechnej i idą w nowe życie. Otwiera się przed niemi różne drogi, z których jedną muszą wybrać — albo dalsze kształcenie się w kierunku zawodowym czy ogólnym, albo poprostu pracą zarobkową, dającą utrzymanie.

W Warszawie według ustalonej tradycji zakończenie roku szkolnego dla abiturjentów szkół powszechnych odbyło się bardzo okazale. Zebrane w dniu 23 czerwca na dziedzińcu Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych delegacje młodzieży ze szkół żeńskich, koedukacyjnych i męskich ze sztandarami przedefilowały przez Aleje Ujazdowskie złożyć hołd Marszałkowi Piłsudskiemu.

Rozczulająco wyglądała lekko pochylona postać największego człowieka w Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej na tle gromady młodych, którzy, jak kłosy, chylili przed Nim głowy i sztandary swoich szkół.

Chwila ta utkwi w pamięci wszystkich obecnych na zawsze.



Zakończenie Roku Szkolnego.
Pochód z pod Belwederu.



Zakończenie Roku Szkolnego w szkole Nr. 40 przy ul. Wspólnej 47.

Długo stał Marszałek Piłsudski na ganku Belwederu i patrzył na szeregi sztandarów i dziatwy wychodzącej na ulicę — zdawało się że błogosławił je na nową drogę życia, nakazując, aby była jak stal hartowna, tak czysta i nieugięta, jak On sam.

żołnierza, pochód udał się dalej ku pomnikowi Mickiewicza, poczem przy zamku się rozwiązał.

Uroczystość wypadła imponująco. Dziatwa szkolna zebrana w tak wielkiej liczbie, gdyż było jej około 750 osób, karnie, dziarsko i we wzorowym porządku przedefilowała przez miasto.



ZAKOŃCZENIE ROKU SZKOLNEGO.
Marszałek Piłsudski i delegacje młodzieży przed Belwederem.

Po wyjściu z Belwederu pochód ze sztandarami przeszedł przez miasto na plac Józefa Piłsudskiego, gdzie został złożony wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza. Młodzież czynem tym zadokumentowała, że pamięta o poległych, których krew przelana nie poszła na marne.

Po złożeniu wieńca na grobie Nieznanego

Należy się uznanie organizatorom całego obchodu, gdyż dzięki ich wysiłkom oraz pracy Wychowawców i sprawności samych dzieci, a co za tem idzie i szkół, z których dzieci były delegowane, udało się przeprowadzić pochód w takim porządku i ładzie, że wywołał on powszechny podziw i poklask.

E. LUBLINEROWA

DZIECI TROSKI.

(Dokończenie).

Czasem się zdarza, że nauczyciel, w nawale pracy, zapomni o swoim niedorozwiniętym uczniu i pozwoli mu siedzieć bezczynnie i nie brać udziału w lekcji.

Będzie to jeszcze względnie szczęśliwy zbieg okoliczności dla ucznia.

Gorzej, jeżeli zbyt gorliwy nauczyciel, pamięta ciągle o swym niedorozwiniętym uczniu, gnębi go pytaniami i szykanuje za niedostateczne odpowiedzi.

Nie rozumiejąc istotnej przyczyny braku postępów, pomawia swego ucznia o brak uwagi, brak pilności, a nawet o złą wolę.

Koledzy triumfują nad biednym kaleką i szykanują go w sposób okrutny.

W tych warunkach niema mowy o poprawie w jakimkolwiek kierunku, zwłaszcza że nikt nie doda mu odwagi ani wiary we własne siły.

To też nauczyciel, który rozumie, że dziecko, któremu natura odmówiła zdolności, uczyć się w tych warunkach nie może, stara się jaknajprędzej ulokować takie dziecko w szkole specjalnej.

Jak dalece niepotrzebnie przedłużony pobyt małozdolnego w szkole ogólnej, może zaważyć na całej jego przyszłości, może nas przekonać opis dziejów biednego chłopca — włóczęgi, podany przez pewnego niemieckiego pedagoga. Chłopiec ten zdrów, dobrze zbudowany, silny — ale niezdolny do nauki, przebywał w szkole normalnej. Pomimo pilności i staranności nie robił należytych postępów w nauce.

Nauczyciel, niewchodząc w przyczynę tego braku postępów, stawiał mu złe stopnie i zatrzymywał po dwa lata w każdej klasie. Ojciec karał go w okrutny sposób za złe cenzury przypuszczając, że tego rodzaju pedagogiczne zabiegi wpłyną na poprawę.

Chłopiec bity w domu, prześladowany przez nauczyciela i wyśmiewany przez kolegów, niemógł dłużej znosić tych tortur i postanowił uciec. Wałęsał się, biedny chłopiec, przez jakiś czas po polach i lasach okolicy żywiąc się kradzioną lub wyżebraną strawę, ale to trwało niedługo. Wkrótce został on ujęty przez policję i odprowadzony do domu. W domu został surowo ukarany za ucieczkę i zmuszony do powrotu do szkoły. Zaczęły się znów przykrości i prześladowania. Chłopiec uciekał kilkakrotnie i zawsze powtarzało się to samo.

Im był starszy, tem więcej cierpiała jego ambicja. Przykro mu było, że on, chłopiec już pod wąsem, nie mógł nauczyć się tego, co z łatwością przychodziło jego młodszym kolegom. Jedyny ratunek — to ucieczka, a i ta zawiodła.

Dyrektor szkoły, zauważywszy jego częste ucieczki, chciał zbadać przyczynę tego dziwnego zachowania się chłopca. Zorjentowawszy się w sytuacji, umieścił go natychmiast w oddziale dla małozdolnych.

Jedyne miejsce odpowiednie, zarówno dla małozdolnych i niedorozwiniętych, to szkoła specjalna (oddział dla małozdolnych).

Tam będzie to biedne dziecko między równemi sobie; a koledzy, ci towarzysze niedoli, nie będą wywyższać się nad nim, szykanować go, lub śmiać się z niego.

Mała ilość uczni w każdej klasie, pozwala nauczycielowi na gruntowne poznanie braków każdego, na indywidualne traktowanie.

Nauczyciel szkoły specjalnej ma pełną swobodę działania. Może on modyfikować program, tworzyć nowe metody nauczania, lub stosować te które są jego zdaniem odpowiednie, żeby urobić umysł tych nieszczęśliwych dzieci — na wzór i podobieństwo ich normalnych kolegów.

W szkole specjalnej nabierze niedorozwinięty, lub małozdolny pewności siebie i uzyska znakomitą poprawę.

To też ci rodzice, którzy mają dobro swego dziecka na względzie, nie będą słuchać podszeptów fałszywej ambicji, która im każe ukryć defekt swego dziecka, lecz przeciwnie, zrobią wszystko co można, aby uratować dziecko od wykolejenia. Widząc ten lub ów defekt dziecka, widząc brak postępów w nauce szkolnej, naradzą się z nauczycielem lub kierownikiem poradni pedologicznej, co do ewentualnego przeniesienia dziecka ze szkoły, która jego rozwój hamuje, do tej, która, będąc przystosowana do jego braków, wyrobi go na pożytecznego członka społeczeństwa.

OD RADY SZKOLNEJ M. WARSZAWY.

Komisja Opiek Szkolnych przy Radzie Szkolnej m. st. Warszawy (Hipoteczna 5) zorganizowała pod przewodnictwem p. Z. Praussowej kolonje letnie dla 3.500 dzieci ze szkół powszechnych na przeciąg lipca i sierpnia.

Kolonje te znajdują się w trzech miejscowościach: 1) w Zajezierzu nad Wisłą dla chłopców od 10 — 15 lat, 2) w Małkini nad Bugiem dla dziewczynek od 10 — 15 lat, 3) pod Pułtuskiem nad Narwią dla dzieci płci obojga od 7 — 10 lat.

Pomieszczenia kolonijne są bardzo obszerne i wygodne; zawdzięczamy to wojskowości, która użyczyła na ten czas swoich budynków we wszystkich trzech miejscowościach.

Kierownictwo kolonji w Zajezierzu objął prof. Ligaszewski, w Małkini — p. pułkownik Zagórska, pod Pułtuskiem — p. Zaorski.

Opieka lekarska nad wszystkiemi kolonjami spoczywa w rękach dra Stanisława Biendarzewskiego.

Dzieci zostały zakwalifikowane na oba sezony i pierwsza partja na lipiec już jest wysłana.

Koszt utrzymania dziecka łącznie z kosztem dozoru i wychowawstwa wynosi 115 zł. na jeden miesiąc. 50% pokrywają opieki szkolne z funduszów, zebranych od rodziców, resztę dopłaca Komisja Opiek Szkolnych.

PROJEKT REGULAMINU

DLA WYCHOWAWCÓW I WYCHOWAWCZYŃ NA KOLONJACH LETNICH RADY SZKOLNEJ M. ST. WARSZAWY.

Część I.

Dzieci na głos dzwonka wstają o godz. 7-ej. Przedtem nie wolno dzieciom wstawać i oddalać się z sypialni. Wychowawcy wstają o ½ godz. wcześniej i każdy osobiście dogląda swojej grupy przy wstawaniu, ubieraniu się i słaniu łóżek. Po posłaniu łóżek wychowawca prowadzi grupę do płukania gardła, poczem wyprowadza dzieci na świeże powietrze, na ćwiczenia gimnastyczne w myśl wskazówek lekarza i kierownika wychowania fizycznego. Następnie dzieci myją się po kilkanaścioro jednocześnie, zależnie od pomieszczenia, poczem kładą bieliznę, czyszczą zęby szczoteczkami, czeszą się. Dzieci, które nie umieją się jeszcze myć i czesać same, winny być umyte i uczesane przez wychowawcę lub hygjenistkę.

Na dzwonek wszystkie grupy ze swoimi wychowawcami schodzą się na modlitwę.

O godz. 8.30 śniadanie. Każdy wychowawca ma stoły przeznaczone na cały czas pobytu na Kolonji dla swojej grupy, i dzieci siadają w ustalonym porządku.

Po śniadaniu wycieczka lub też gry ruchowe na świeżem powietrzu. Pomiędzy śniadaniem a obiadem wychowawca prowadzi grupę do kąpieli i na plażę, przyczem winien trzymać się oznaczonej godziny. Przy kąpieli jest obecną hygjenistka. W kąpieli wychowawca jaknajpilniej obowiązany jest przestrzegać: 1) określonego przez lekarza czasu trwania kąpieli w odniesieniu do każdego dziecka osobno, 2) aby dzieci pod żadnym pozorem nie przekraczały granicy terenu kąpielowego. Do wody wychowawca wchodzi pierwszy, za nim na dany znak cała grupa. Tymczasem wychowawca drugiej grupy patrzy na zegarek i uważa na kąpiących się, gotowy każdej chwili przyjść z pomocą. Dlatego w kąpieli muszą być conajmniej dwie grupy, przyczem jedna leży na słońcu, druga zaś kąpie się pod nadzorem dwóch wychowawców. Kąpiel w żadnym wypadku nie może trwać dłużej, jak 10 minut.

O godz. 1-ej obiad. Dzieci wezwane dzwonkiem myją ręce i po odmówieniu krótkiej modlitwy siadają na swych miejscach. Jedzenie przynoszone jest z kuchni dla każdej grupy oddzielnie; wychowawcy rozdają je swoim dzieciom przy pomocy dwóch dyżurnych z grupy.

[1]) Prosimy rodziców, opiekunów i wychowańców o wypowiadanie w listach do Redakcji uwag i życzeń, dotyczących niniejszego projektu.

W pierwszych dniach pobytu na kolonji, każdy wychowawca musi opanować swoją grupę i wdrożyć dzieci do zachowania absolutnej ciszy przy jedzeniu. Zwracać musi również uwagę, by dzieci najadły się do syta; tym, które mają większy apetyt, dawać, tak zwane na kolonji „dolewki“ i „dokładki“.

Wychowawcy zwracają uwagę na zachowanie się dziecka podczas posiłku, uczą je zachowywać się przyzwoicie przy jedzeniu i jeść porządnie, nie kłaść się na stole, nie rozpierać się, nie oddawać swoich porcji innym dzieciom, nie bawić się widelcem i nożem, nie wstawać od stołu dopóki wszyscy nie zjedzą, ani przed odmówieniem modlitwy.

Po obiedzie w czasie niepogody idą dzieci do sypialni i zdjąwszy obuwie kładą się na łóżka na godzinę; gdy jest pogoda i ziemia sucha, dzieci kładą się przed domem w cieniu na trawie, lub na płótnach. W czasie leżenia nie wolno dzieciom rozmawiać, musi być zachowana cisza, dzieci odpoczywają, a część z nich zasypia. Podczas spoczynku dzieci, cały personel je obiad z wyjątkiem dyżurnych wychowawców, którzy pozostają przy dzieciach. Personel dostaje na obiad to, co dzieci — nie wolno personelowi domagać się specjalnych potraw i zarówno dzieci, jak i wychowawcy nie mogą zabierać jedzenia do sypialni.

Po wstaniu dzieci bawią się przy domu, uprawiają sporty pod kierunkiem wychowawców i kierownika wychowania fizycznego.

Ponieważ wychowawcy potrzebują wytchnienia, czterech z nich ma prawo do odpoczynku codzień kolejno. Na czas odpoczynku należy przeznaczyć bezwarunkowo tylko godziny między obiadem a podwieczorkiem. Pozostali wychowawcy obejmują grupy wychowawców wypoczywających.

O godzinie 5-ej podwieczorek, po którym jest czas wolny. Dzieci na wyznaczonym im terenie i pod okiem wychowawców bawią się, jak chcą. Dwa razy w tygodniu wychowawca w tym czasie zarządza pisanie listów do rodziców. Czas między podwieczorkiem a kolacją może być również wyzyskany dla zbiorowej nauki śpiewu, prób teatralnych oraz wypożyczania książek z czytelni. O godz. 7-ej wieczerza, po niej gra w piłkę ręczną i inne ruchowe zabawy lub spacer, do uznania wychowawcy. O godzinie 8.15 apel wieczorny i modlitwa (krótki pacierz i śpiew), poczem udanie się do sypialni.

Dzieci przed spaniem płuczą usta, myją twarz, ręce i nogi. Wychowawcy zwracają uwagę, by dzieci kładły się spać rozebrane do koszuli, a nie napół ubrane, czuwają też nad tem, jak dziecko usypia, jak leży, czy ma ręce na kołdrze, czy nie ma jakich złych nałogów.

O godzinie 9-ej dzwonek na ciszę — nie wolno już dzieciom rozmawiać, cała gromada usypia.

ROZKŁAD DNIA

Czas

7 — Pobudka.

7—7.30 — Ubieranie się, słanie łóżek i płukanie gardła.

7.30 — 7.45 — Poranne ćwiczenia cielesne.

7.45 — 8.15 — Mycie się i czyszczenie zębów.

8.15 — 8.25 — Zbiórka do modlitwy i wspólna modlitwa.

8.30 — 9 — Śniadanie.

9 — 12.30 — Wycieczki, sporty i kąpiel.

13 — 14 — Obiad.

14 — 15 — Cisza poobiednia.

15 — 17 — Gry i zabawy ruchowe, sport.

17 — 17.20 — Podwieczorek.

17.20 — 19 — Czas wolny.

19 — 19.30 — Kolacja.

19.30 — 20.15 — Gry ruchowe lub spacer.

20.15—20.30—Apel wieczorny i modlitwa.

20.30 — 21 — Mycie się, płukanie ust i gardła, ułożenie do snu.

21 — Cisza wieczorna. (d. c. n.)

L. R.

JAK LUDNOŚC AMERYKANSKA SPĘDZA „KONIEC TYGODNIA“ (WEEK-END).

W Anglji i Ameryce słowo week-end (uikend — koniec tygodnia) jest ogólnie przyjętem mianem cotygodniowego w porze letniej półtoradniowego wyjazdu ludności z miast na wieś. W sobotę po połud., po zamknięciu biur i magazynów, setki tysięcy mieszkańców miast angielskich i amerykańskich opuszcza duszne mury miejskie, by resztę dnia sobotniego i całą niedzielę spędzić na łonie przyrody. Instytucja week-end'u nie odrazu stała się tak popularną. Przyczyniła się do tego, przez długi czas prowadzona, intensywna i umiejętnie kierowana propaganda. Naturalną zachętą do „week-end'u“ dla Amerykanina stanowiły wielkie jeziora amerykańskie, piękne wybrzeża Oceanów, dzika przyroda parków naturalnych, wreszcie potężne rzeki, dostępne nawet dla okrętów morskich, oraz świetnie utrzymane drogi jezdne. Walka konkurencyjna trustów kolejowych, okrętowych i hotelowych, prowadzona, celem uzyskania jak największej ilości klijentów, powołała do życia tysiące udogodnień, uprzyjemniających Amerykaninowi pobyt na wsi. Do spopularyzowania week-end'u w Ameryce przyczynił się również olbrzymi rozwój automobilizmu. Spotęgowanie się ruchu automobilowego sprzyja również i rozwojowi campingu (obozowania). Camping, to spędzanie pewnego czasu na łonie przyrody, we własnych, przywożonych z sobą namiotach lub też w drewnianym baraku, które stawiają wielkie firmy budowlane w odludnych, a pięknych okolicach i wynajmują je na lato za niską opłatą. Wreszcie luksusowo urządzone „kluby wiejskie“ (Country-Clubs) umożliwiają Amerykaninowi spędzenie week-end'u poza miastem w sposób najbardziej przypadający mu do gustu. Tysiące ludzi spędza swój week-end na specjalnych okrętach, płynących po takich rzekach, jak Hudson i Missisipi, lub po wielkich jeziorach. Okręty, służące do tego celu, mają często cztery pokłady i do dwóch tysięcy miejsc sypialnych, a oprócz tego olbrzymie hale, sale na czytelnie, bawialnie, jadalnie i t. p. Ceny jazdy na tych parowcach są obliczone jak najprzystępniej. Dziesięciogodzinna jazda np. z Nowego Jorku do jakiejś miejscowości na brzegu rzeki i z powrotem, kosztuje 5 dolarów 25 centów, co na tamtejsze stosunki jest ceną umiarkowaną. Towarzystwa okrętowe wchodzą przytem w kontakt z linjami kolejowemi i autobusowemi i wydają bilety kombinowane, umożliwiające jazdę przy pomocy wszystkich trzech środków lokomocji.

Dobrzeby było, gdyby ludność naszych miast poszła za przykładem Amerykanów, spędzając „koniec tygodnia“ wśród pól i lasów.

L. BARAŃSKA.

SOBOTA I NIEDZIELA.

Miałam niepohamowaną chęć otrzymania kawałka ziemi na którym gospodarując „własnoręcznie“, hodowałabym kwiaty do ozdoby mieszkania, oraz krzewy owocowe na własny użytek.

Chciałam także wolny czas spędzić na świeżem powietrzu, zdala od gwaru ulicy i tłumów wielkomiejskich, oraz urozmaicić codzienny szkolny tryb życia innym rodzajem pracy.

Zapisałam się więc na członka Towarzystwo Ogródków Rodzinnych i otrzymałam 300 metrów kwadratowych — ziemi.

Straszono mię w domu, że przy swoich zajęciach zarobkowych, nie podołam ciężkiej pracy jaką na siebie biorę.

Nie pomogły perswazje i tłumaczenia — zostałam członkiem Tow. O. R. i wzięłam działkę ziemi.

Ponieważ otrzymałam ją dość późno, bo w połowie czerwca dopiero, miałam więc trochę kłopotu z jej uprawą i doprowadzeniem do porządku. Była ona zapuszczona, „zaperzona“, a spóźniona pora nie pozwalała na sianie i sadzenie wielu rzeczy, — jednym słowem — kłopot, a tu regulamin R. O. D. nie pozwala, aby ziemia leżała odłogiem.

Natychmiast zaopatrzyłam się w odpowiednie narzędzia, zasięgnęłam „fachowych“ rad i wskazówek, i z zapałem zabrałam się do pracy „na roli“.

Choć była to połowa czerwca, pora najbardziej gorączkowej pracy w szkole, kiedy najrozmaitsze wykazy, posiedzenia, wycieczki, kolonje, obchody, sprawdzania, i t. d. i t. d. zabierają prawie cały skąpy na odpoczynek czas, znalazłam parę chwil wolnych dla mego ogródka.

Tam właśnie odpoczywałam najlepiej!

Kiedy zmęczona, niezdolna do żadnej pracy umysłowej, przychodziłam do domu — z niecierpliwością czekałam końca czynności gospodarskich, aby móc iść do ogródka.

Z jaką ochotą chwytałam za szpadel! Jaką niewypowiedzianą radość sprawiało mi usypywanie grządek i zagonków!

Nawet mało ciekawe i twórcze noszenie wody do podlewania robiło mi przyjemność.

Po dwugodzinnym pobycie i pracy w ogródku czułam się świetnie, doskonale wypoczęłam, odzyskałam humor i radosna, zadowolona z siebie i świata, wracałam do domu.

Codziennie odtąd starałam się pójść do ogródka, choćby na krótko.

W niedzielę zaś, zaniechałam tradycyjnych spacerów i spędzałam w ogródku po kilka godzin. Projektowałam nawet, że gdy będzie ciepło, to nie zawaham się pozostać tam przez cały dzień. Zresztą robili to już inni, mający więcej czasu odemnie.

Żałuję tylko, że ogródki takie, tak mało są u nas rozpowszechnione. Pamiętam, jak przed wojną oglądałam takie robotnicze działki pod Wiedniem i Berlinem.

Jak gwarno i rojno było na nich w każdą sobotę i niedzielę! Już w sobotę po obiedzie ściągały całe rodziny z dziećmi i prowiantami.

Nocowano nawet w małych altankach-domkach, nieraz własnoręcznie, jak najtańszym kosztem postawionych. Proste i skromne, wyglądają jednak ładnie, obsadzone pnączami, tonące w zieleni.

Utrzymują, że z dwustumetrowego ogródka można mieć warzyw na całą zimę dla rodziny, złożonej z trzech osób. A maliny? A truskawki? A co za kwiaty wspaniałe hodowano!

Każda taka maleńka działka wyglądała, jak różnobarwny bukiet. Miejmy nadzieję, że niezadługo Wielka Warszawa będzie opasana wieńcem takich robotniczych ogródków rodzinnych, a rodziny całe będą wyruszały w sobotę do działki-ogródka na wypoczynek niedzielny.

WANDA MELCER-SZTEKKEROWA POWIEŚĆ.

POŚCIG Z PAMPASOW.

(Ciąg dalszy).

Jeszcze daleko było do świtu, a na niebie świecił maleńki księżyc, podłużny i cierpki, jak cząstka cytryny, kiedy czterej jeźdźcy wysunęli się w daleką pampę.

— Czemu nie jedziesz sam i nie odwozisz swojej paczki na pocztę? — spytał jeden z kupców Sebastjana, który ich przeprowadzał kawałek drogi.

— Nigdy nie puściłaby mnie matka — przyznał się Sebastjan — jest jedna i kobieta, potrzebuje mnie w gospodarstwie.

— Och, twoja matka nie wygląda na to, żeby właśnie ciebie potrzebowała w gospodarstwie, — powiedział drugi ze śmiechem — to dzielna kobieta!

Sebastjan wiedział, że wszyscy myśleli tak samo, to też prędko pożegnał kupców, żeby wrócić. Weseli, pojechali dalej sami. Interesa za-

powiadały się bardzo dobrze, a ceny koni, tutaj, tak daleko od miast, były niskie. José, ten w zielonym, barchanowym kaftanie, jechał naprzód, tamci dwaj, Jorge i Benvenuto, flankowali stado koni po obu bokach. Droga, która ich czekała, nie była ani łatwą, ani krótką, wiedzieli o tem dobrze, ale wcale ich to nie martwiło. Wyobrażali sobie życie, jak step bez końca, po którym można hasać konno i tego swojego wyobrażenia nie zamieniliby na żadne inne.

Niska, sucha trawa szeleściła pod kopytami koni, które szły spokojnie. Upalne lato wypaliło stepy, i teraz, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się te bezmierne, rude przestrzenie, urozmaicone tylko, na horyzoncie, kilkoma drzewami akacjowemi, które już dawno okwitły. Na wypalonych przestrzeniach widać było, gdzieniegdzie, nagie czerepy zwierząt, które tu się pasły i tutaj padały, zdychając. Koń Benvenuta potrącał kopytem to potężny kościec wołowy razem z żebrami, sterczącemi, jak obręcze od beczki, to czaszkę z rogami, które jeszcze nie odpadły, kształt antycznej liry. Ponieważ i jego życie, jak życie jego pana, zeszło na stepie, więc nie okazywał trwogi. Stad bydła tego ranka nie spotykali: widocznie przechodzące, spasły tego lata wszystką trawę i poszły dalej.

Postanowili jechać aż do południa, omijając najgorętsze godziny dnia, to też słońce stało już wysoko na niebie, kiedy zobaczyli zdaleka białą, rozżarzoną od upału, pomimo późnej pory roku, linję jeziora, koło którego mieli się zatrzymać. Blizkość wody powodowała ogromne ożywienie na równinie: unosiły się nad nią stada ptactwa, które zdaleka już krzykiem zwiastowały swoją obecność. Ponieważ człowiek rzadkiem był w tych stronach zjawiskiem, ptaki polatywały spokojnie, a raczej wszelkie ich niepokoje jedyne miały źródło w ich niezrównoważonym temperamencie. Jęki i piski ptasie zdaleka już nosiły się po powietrzu, jakby tam niezmiernie jakieś ważne rozstrzygały się sprawy.



Kolonje w Argentynie (Ranch).

Tu, gdzie zaczynało się królestwo wody, trawa była zieleńsza i puszystsza, a niewysokie drzewa otaczały jezioro. Jorge, zapalony myśliwy, sięgnął do karabinka.

— Wpierw spętamy konie — powiedział José, ale Jorge już był daleko. Przywarłszy do konia, pochylony mocno w siodle, żeby stać się jak najmniej widocznym, podjeżdżał do samego brzegu, kołując między drzewami. Zaleciał go ostry zapach wody, u której brzegów gniły zeszłoroczne liście, i serce mu drgnęło łowiecką ochotą. Połyskliwa chmura ptaków, ruchliwa i lotna, zmieniała w oczach kształty, gęstniejąc i rzednąc, jak pod podmuchami wiatru. Jorge przymrużył dalekowidne oczy, bystre oczy, jak u ptaka, przed któremi nic, co się dzieje na pampie, nie mogło się nigdy ukryć, i obrzucił niemi uważnie cały widnokręg, upatrując godnego celu. Nagle aż drgnął: o sto kroków od niego, na małej, brzegu blizkiej wysepce stała samotna, piersią ku niemu odwrócona czapla. Jorge zsunął się z konia, który, zmęczony, stanął, opuściwszy ku soczystej trawie znużoną głowę — a sam, przysłaniając się do pni drzewa, ruszył w stronę samotnicy. Stracił tak parę minut, parę minut drogiego czasu, żeby ją podejść, ale wszelkie ostrożności z tym najstrożniejszym z ptaków były zbyteczne: czapla zajęta była

własnemi sprawami i nie zwróciła na niego żadnej uwagi.

Przyłożywszy broń do policzka wycelował uważnie i strzelił. Maleńka broń, precyzyjna maszynka do zadawania śmierci, strzelała bezgłośnie. Cicha, niewinna kulka wsiąkła w piasek o pół metra za czaplą, która nie raczyła się nawet obejrzeć. Podniecony i zgorączkowany, bojąc się, że napewno już ptaka spłoszył, strzelił po raz drugi, ale znowu nie trafił. Zadumana czapla stała nieporuszona. Więc jeszcze strzelił trzy razy, raz po razie, coraz szaleńszy, coraz bardzie rozpalony niepowodzeniem, a ptak stał! A ptak nie odlatywał! A ptak nie myślał wcale, że umiera!



Gaucze przy wieczerzy.

— Muszę się opanować — pomyślał, i uważnie wycelowawszy, po raz szósty wystrzelił do zaczarowanej czapli. Już nie stała.

Rozebrał się w mig i skoczył w wodę. Pochylona, jak stara baba, umknęła mu pospiesznie z drogi czarniutka kura wodna, sadząc po płaskich liściach wodnych roślin swojemi rozczapierzonemi palcami. Miał wody zaledwo po pas, kiedy sięgnął sztywnych nóg czaplich, sterczących z trawy. Przewróciła się na grzbiet z kulą w sercu.

Nagi i ociekający szedł ku towarzyszom, ciągnąc za sobą ubranie i buty, których już mu się nie chciało nakładać. Koń szedł za nim, martwiąc się ciężkiem siodłem. Zlitował się nad nim i rozpiął popręgi, rzucając cały bagaż pod nogi towarzyszom.

Wszyscy byli umęczeni wielogodzinną podróżą. Nawet się jeść nie chciało.

— Jeszcze za gorąco — powiedział Benvenuto, leżąc z rękami pod głową.

(d. c. n.)

O RADOŚCI.

Zasadniczym tonem naszej kultury i naszej twórczości narodowej w latach niewoli był smutek, który urastał nieraz aż po wyżyny rozpaczy, czy to wylewając się nabrzmiałemi łzami bólu w twórczości romantyków i modernistów, czy wykrzywiając się w pozornym uśmiechu w utworach Prusa, czy patrzący w niemej zadumie nad przebrzmiałą potęgą państwa twarzą Stańczyka z „Hołdu Pruskiego“, czy też wyzierając niebieskiemi, tęsknemi oczyma bladej, anemicznej dzieweczki z obrazu Wyspiańskiego. My, Polacy, którym większość życia upływa pod pochmurnem niebem wśród rozdeszczonych dni, nie należymy do narodów wesołych i radosnych, ale nasze położenie polityczne, w którem nadarmośmy się tak długo miotali, nie mogąc rozbić gniotących nas równocześnie trzech potęg, pogłębiło pewien wrodzony nam smutek. Nie za-

szedł on wprawdzie tak daleko, jak rozpaczliwy, zabójczy, do gruntu beznadziejny, a podcinający każde poczynanie twórcze, smutek rosyjski, ale przecież głęboko zapadł w psychikę narodową. Aż oto nadszedł czas, gdy nareszcie — mówiąc słowami Wyspiańskiego — duch, co „się w każdym poniewiera“ może

„Wielkie skrzydła porozwijać,
Lecieć, a nie dać się mijać“.

Jeśli więc społeczeństwo ma być zdrowe, silne, przedsiębiorcze, a nie skwaszone — to musi zerwać ze smutkiem, pozą, wpatrywaniem się we własne wnętrze, gdzie dostrzega tylko to, co złe i rozkładowe, a rozwinąwszy swe siły twórcze, radośnie zabrać się do pracy, by dogonić, lub, co daj Boże, przegonić zachodnią Europę.

Zawsze, od wieków, młodzież była radosną, kipiącą energją i chęcią życia, dopiero pierwsze rozgoryczenia, tak wczesne dawnemi laty, zamieniały ową energję na zniechęcenie i zwątpienie. Ale dzisiaj tak wcale być nie musi, co więcej — tak być nie może. Rzeczą jest wychowawców — tak rodziców, jak i nauczycieli— owe płomienki radosne rozniecić w wielki ogień zapału, jakim ma gorzeć współczesny człowiek pracy i czynu, a ową kipiącą radość życia zwrócić z niewłaściwego łożyska, jakiem płynie, wyładowując się w przedwczesnych pohulankach i pijatykach na właściwe tory.

Prawdziwa radość życia z różnych płynie źródeł: z twórczej pracy, z pogodnego ustosunkowania się do życia, z umiłowania człowieczeństwa i z fizycznego i psychicznego zdrowia.

Rozplenił się po Polsce szeroko pewien typ człowieka niezadowolonego, który obnosi swe zgorzkniałe oblicze po ulicach wszystkich miast i miasteczek, zrzędzi, urąga, krytykuje, dowodzi, że wszystko jest złe, a na pocieszenie swoje i swojego bliźniego dodaje, że będzie jeszcze gorzej. Człowiek taki prawie z reguły źle spełnia swe obowiązki, ale jest pewien, że gdyby został np. ministrem, napewno w Polsce zakwitłaby nowa era. Otóż na wszystko trzeba się strzec wychowywania takich „ministrów we własnych oczach“, na każdym kroku podkreślając słowem, a co najważniejsza czynem własnym, że nie każdy człowiek dorósł do objęcia teki nawet podsekretarza stanu, ale to wcale nie jest nieszczęściem. Przeciwnie: twórcza, inteligentna praca w każdym fachu jest możliwa i w każdym daje pełne zadowolenie z siebie i ze świata.

Bezpośrednio z zagadnieniem radości płynącej z twórczej pracy, łączy się pewien rys naszego charakteru narodowego, który ową radość niezmiernie utrudnia. Tym rysem jest zazdrość, na którą zwrócił już uwagę Sienkiewicz. U nas wszyscy zazdroszczą innym wszystkiego. Przypuśćmy, — powiada Sienkiewicz — że napisałem znakomitą komedję. We Francji będą mi tego zazdrościć koledzy komedjopisarze—w Polsce zaś wszyscy, zacząwszy od mojego krawca, skończywszy na inżynierach i lekarzach, t. j. ludzie, nie mający nic wspólnego z piórem, a zazdroszczący jedynie powodzenia. Zazdrość ta i nieżyczliwość rozplenia się po Polsce wszędzie, przenika nasze życie aż do samego dna, wylewa się ze szpalt naszych dzienników, uderzających na każdą wybitną, czy wybijającą się jednostkę. Człowiek, który naprawdę twórczo pracuje, powinien i musi sobie powiedzieć: „Robię to, co do mnie należy, w sposób, na jaki mnie tylko stać i nic sobie nie mam do wyrzucenia. Jeżeli ktoś potrafi to lepiej odemnie — szczęść mu Boże“.

Drugiem źródłem radości jest pogodne, a zarazem zdobywcze ustosunkowanie się do życia. Nikt, nawet największy optymista, nie może powiedzieć, że życie niesie w sobie tylko radość. Przeciwnie: ból, zawody i rozczarowania płyną w szarych naszych dniach w dużo większej ilości, niżbyśmy tego pragnęli. Czasem więcej niż możemy znieść. Zawsze jednak, mając moc wewnętrzną, możemy z losem, po chwilowej porażce, podjąć walkę, pamiętając słowa Sakia-Muni‘ego, że „prawdziwe troski nasze płyną tylko z wnętrza nas samych“.

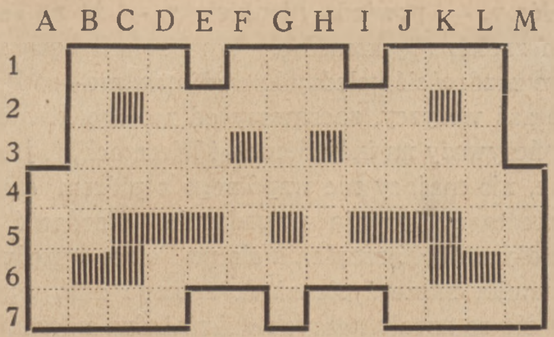
Nie będzie jednak przytem wszystkiem prawdziwie szczęśliwym i radosnym ten, kto nie kocha ludzkości. We wszystkich wiekach wszyscy myśliciele powtarzają nam ową prawdę, która stała się prawie komunałem, ale której tak mało jest w życiu. Mówi nam o tem nasz wielki myśliciel i artysta, Prus, w swej pięknej noweli „Sen“.

Kiedy, zamiast ludźmi gardzić, lub nienawidzieć ich, wyrobimy w sobie współczucie dla bliźniego, wówczas powstaje w nas jakaś pełnia zadowolenia, czujemy się z każdym człowiekiem związani niewidzialną nicią przyjaźni. Łatwiej nam będzie przebaczać małe grzeszki ludzkie, które tak szeroko rozwielmożniły się po świecie.

Chl.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

Nr. 1. KRZYŻÓWKA uł. p. Al. Czyżewski.



Znaczenie wyrazów:

Poziome: 1B. Uczesanie. 1F. Imię artysty filmowego. 1J. Napój alkoholowy. 2D. Przyrządy. 3B. Rzeka mitologiczna. 3I. Rosa wieczorna. 4A. Ośmieszenie się. 5A. Dwie spółgłoski. 5L. Miara ziemi. 6D. Pachnidła. 7A. Rzeka w Rosji. 7J. Pokój.

Pionowe: A4. Stąpnięcie. B1. Barwa. C3., Litera (fon). D1. Gatunek zoologiczny (wspak) D6. Pożegnanie. E2. Baron. F1 Dwie samogłoski. F4. Moneta Skandynawska. G1. Piorun. G6. Nuta. H1. Dwie samogł. H4. „Gdzie" po łac. (wspak). I2. Bóstwo egipskie. J1. Kawał, pajda. J6. Miasto w Bretanji, K3. Symbol pierwiastka. L1. Imię żeńskie. M4. Korab.

Nr. 2. CIĄGÓWKA uł. p. George Abbe.

Za pomocą podanych znaczeń odczytać 5 wyrazów, czytanych wprost. Następnie odczytać ten ciąg wspak aby powstały 4 nowe wyrazy.

Znaczenie wyrazów:

Wprost: Skarbiec. Przeszkoda. Rodzaj smoły. Masa wyrzucana przez wulkan. Podarunek.

Wspak: Zadowolony. Bójka. Zwierzę. Przyrząd kuchenny.

Rozwiązania z Nr. 18.

Nr. 1. KWADRAT MAGICZNY.

B	U	R	A	K				
U	W	A	G	A				
R	A	B	A	T				
A	G	A	W	A				
K	A	T	A	R	A	K	T	A
				A	L	O	E	S
				K	O	B	R	A
				T	E	R	E	N
				A	S	A	N	I

Nr. 2. KRZYŻÓWKA.

			N	E	R			
			I		Y			
			W	A	G			
R	A	B	A		A	L	K	A
U		Ó				I		Z
T	O	R	A		O	R	K	A
			G	A	Z			
			A		O			
			T	A	N			

Trafne rozwiązania nadesłali pp:

Arbaszewska Józefa w/m. Bondorowski Jerzy w/m. Chrzanowski Jan w/m. Dyniewski Włodzimierz w/m. Jarmulski Saturnin — Modlin. Kamińska Kamilla — Sulejówek. Kamiński Stanisław—Sulejówek. Kozłowski Czesław w/m. inż. Landau Jan w/m. Policzyński Leonard — Rembertów. Rychowiecki Zenobjusz w/m. Sindówna Anna w/m. Skowroński Jerzy w/m. Stańczak Zdzisław w/m. Szostak Edward. w/m. Tietz. Zygmunt wm.

Nagrody wylosowali pp:

1. Chrzanowski Jan w/m.
2. Rychowiecki Zenobjusz w/m.
3. Szostak Edward w/m.

Adres Redakcji i Administracji, Warszawa, Hipoteczna 5. Tel. redakcji i administracji 517-35.
Redakcja otwarta w poniedziałki, środy, piątki od godz. 1 m. 30 do godz. 3-ej popoł.
Administracja czynna codziennie od g. 9-ej do 3-ej. pp.
WARUNKI PRENUMERATY: Miesięcznie Zł. —.95. Kwartalnie Zł. 2.85. Półrocznie Zł. 5.70. Rocznie Zł. 11.40.
Konto P. K. O. Nr. 19929.

Warszawskie Zakłady Graficzne, Wilcza 60. Telefon 293-47.